









— Dlaczego? Miłości nie trzeba koniecznie szukać u męża — drwiła druga. — Można pani na dużym zamku może sobie pozwolić po cichu na skromną miłość z ubogim minstrelem. Przecież mąż na pewno też nie będzie jej wierny. Można przekonać go, aby nie był zazdrosny.

— Ach, nie mów tak! — oburzyła się pierwsza. — To już nie będzie prawdziwa, naprawdę piękna miłość. Ja bardzo żałuję, że ten minstrele nie wykradł Agnieszki.

— Pewnie jest niedołęga, jak wszyscy tacy poeci. Albo — może po prostu jest rozsądny. Wolał się na razie usunąć, nie podejmować walki przy tak nierównych siłach.

— Pewnie! — westchnęła pierwsza. — Baron jest bogaty i potężny. Na pewno potrafiłby odnaleźć ich i wyrzucić na nich zemstę.

— Są tacy, którzy nie obawiają się barona i jego zemsty — oświadczyła nagle energicznie czarnula.

— Jak to? Nie rozumiem?...

— O czym mówisz?

Pytały jednocześnie obie pozostałe.

Ale tamta umilkła, jakby zorientowawszy się, że powiedziała za dużo.

— Myślałam, że mogliby się schronić pod opiekę kogoś potężniejszego od barona — bąknęła po chwili.

— Ale kogo? Chyba udać się do króla? Ale gdzie go szukać? Zresztą król nie lubi próżnej zwady z baronami. Nie wiadomo, czy zaopiekowałby się nimi.

— Nie myślałam o królu. Są tacy, którzy nie unikają zatargów z baronami. Przeciwnie! — niezbyt chętnie wyjaśniała przyciśnięta do muru przez pytania towarzyszek czarnula.

— Ty coś wiesz, Blanko! — nacierała druga z dziewcząt. — Czy myślisz może o leśnych rycerzach, którzy drwią z władzy króla i baronów i napadają na podróżnych w lesie Sherwood?

— Może o Robinie Hood, wodzu tych leśnych rycerzy? — dodała pierwsza. — Słyszałam o nim. Moja ciotka, hrabina Gisborne, знаła go, a nawet była gościem w jego leśnym dworze. Ale Robin Hood przecież nie żyje. Zginął. Albo może uciekł z Anglii, bo przecież przed dwoma laty została zupełnie wytępiona jego banda.

— Nie zginął i nie uciekł! — oświadczyła tajemniczo Blanko.

— Ależ nikt nie słyszał o nim od dwu lat.

— Stary szeryf Nottingham opowiadał, że spalił do szczytu jego gniazdo. Nikt stamtąd nie wyszedł żywy.

— Szeryf Nottingham jest kłamczuchem i samochwałcą — wybuchnęła energicznie Blanko. — Wiem na pewno, że Robin Hood żyje. A nic nie słychać o nim tylko do czasu.

— Skąd wiesz? Kto ci mówi? — zarzuciły ją pytaniami.

— Więcej wam nie powiem — odparła zdecydowanie — Mogę dodać tylko tyle: gdyby Minstrele zdecydował się wcześniej i udał się pod opiekę Robin Hooda, na pewno ślub dzisiejszy nie doszedłby do skutku. Ale... masz rację, Klaro! On jest niedołęga, ten Dawid. Mówiłam mu tyle razy... — urwała znowu — Ale, na miłość Boską, nie powtarzajcie nikomu, co tutaj plotłam. Rodzice gniewaliby się...

— Ależ, oczywiście! Zostanie to między nami. Taka sobie panieńska paplania — zapewniała Klara. — Wicmy przecież, że przyjaźnisz się z Agnieszką i jesteś powiernicą ich miłości. Ale skąd przyszedł ci do głowy ten Robin Hood?

Blanka widocznie zmieszana skryła całkiem twarz w obszernym kapturze.

— Ach, tak jakoś! — bąkała spod futra. — Znałam kogoś... Słyszałam o Robin Hoodzie dużo dobrego. Zupełnie inne rzeczy, niż mówią o nim nasi znajomi.

— Hrabina Gisborne wyraża się o nim bardzo miło... — wtrąciła druhna spod Worcesteru.

— Jest podobno bardzo uczynny. Chętnie pomaga ludziom. A ponieważ sam kocha bardzo swą żonę, zrozumiałby i pomógł nieszczęśliwemu kochaniu.

Towarzyszki miały ochotę zadać Blance jeszcze więcej pytań, ale korowód sań zbliżał się już do celu podróży.

Przed niewielkim kościółkiem stała gromadka ludzi, ciekawych wspaniałej uroczystości, a na przeciw ślubnemu orszakowi panny młodej pędziła grupa, złożona z kilkunastu konnych. To pan młody, w otoczeniu swoich družbów dążył na spotkanie oblubienicy.

Rycerze przybrani byli bogato, w stroje kąpiące od złota i drogich kamieni. Narzucone na ramiona wspaniałe futra rozwiewały się na wietrze, gdy pędzili co koń wyskoczy osnieżoną drogą.

Hucznie i gwarnie zajechali przed kościółek. Rycerze pomagali damom wysiąść z sań i rozwinąć się ze zwojów futer, w które były okutane. Parami już wkraczali do kościółka.

Wieść o ślubie barona rozeszła się widać szeroko, bo w kościele sporo było gapiów: nie tylko wieśniaków z pobliskich wiosek, należących do barona, ale i obcych, z dalekich widać stron.

Baron, idąc dumnym krokiem do ołtarza przy boku oblubienicy, myślał, że właściwie należało by usunąć tych gapiów z kościoła, bo tłok robią niepotrzebny. Ale panu młodemu nie wypada zajmować się takimi drobiazгами.

— Niech patrz! — zdecydował w myśli. — Niech podziwiają moje bogactwo, moją wspaniałość.

Z zakrystii wyszedł proboszcz w towarzystwie drugiego jeszcze księdza, nieznanego nikomu zakonnika, o szerokiej, dobroduszej twarzy. Zakonnik ten krótko przed ślubem zgłosił się w zakrystii i wprosił, a właściwie narzucił proboszczowi do asysty przy ślubie.

Rozpoczął się obrzęd ślubny.

Gdy proboszcz zwrócił się do oblubienicy z sakramentalnym pytaniem, czy chce młodego pana pojąć za małżonka, nim Agnieszka zdążyła odpowiedzieć, jakiś mocny, męski głos zawołał z tłumu:

— Nie!

Zebrani przed ołtarzem poruszyli się niespokojnie. Ksiądz zatrzymał się niezdeterminowany.

Ktoś przepychał się energicznie przez tłum do ołtarza.

— Nie! — powtórzył stanowczo, stając przed księdzem wysoki, barczysty mężczyzna, z jasną brodą i rozwichrzoną blond czupryną, o śmiałej, otwartej twarzy.

— Robin Hood! — rozległ się na pół zadziwiony, na pół zachwycony okrzyk Blanki.

— Oblubienica nie chce pojąć tego człowieka za małżonka — głośno i zdecydowanie oświadcza! Robin Hood. — Zmuszono ją do tego. Jest to wbrew jej wolnej i nieprzymuszonej woli.

— Co to jest! — krzyknął ze złością baron, szukając miecza przy boku.

— Stój spokojnie, baronie! — ostrzegł go Robin Hood. — I wy stójcie, panowie! Nie chcemy wszczynać bójk w kościele, lecz jeśli który z was dotknie tylko broni, skończy się to nieprzyjemnie dla niego. Jesteście wszyscy strzeżeni, więc nie ruszajcie się z miejsc.

— To jest gwałcenie świętego miejsca, przerywanie świętego obrządku — oburzył się z kolei proboszcz.

— Nie unosi się, wielebny konfratrze — uspokajał go dobrotliwie asystujący zakonnik. — Gorszym pogwałceniem świętego Sakramentu byłoby zawarcie małżeństwa wbrew woli, pod przymusem.

— Czy zgadzasz się, Agnieszko, — pytał uroczyście Robin Hood — wstąpić w związek małżeński, miast niemiłego ci barona, z Dawidem Mistrelem, który z miłości dla ciebie, zwalczając wiele przeszkód, przybył tu, aby niemiłemu związkowi przeszkodzić i ciebie z dobrą wolą pojąć za małżonkę?

Agnieszka zbladła ze wzruszenia, tak, że twarz jej białością zrównała się ze strojem weselnym. Chwiała się na nogach. Dojrzała to Blanka i przycisnąwszy się przez tłum, ujęła ją pod ramię.

— Powiedz, że się zgadzasz! No, powiedz-żeż! — szepnęła.

— Zgadzam się! — oświadczyła cicho, lecz wyraźnie oblubienica.

— W pełni rozwagi i z całkowitą dobrą wolą? — pytał dalej Robin Hood.

— Tak! — odparła.

W tej chwili obcy jakiś człowiek odsunął energicznie barona. Na miejscu oblubienca znalazł się, nie wiadomo skąd, Dawid Minstrel.

— Przystąpmy do świętego obrządku, księżu! — powiedział Robin Hood.

— Ależ!... — protestował ksiądz.

— Jeśli nie chcesz, wielebny konfratrze — odezwał się pojednawczo asystujący zakonnik — gotów jestem cię zastąpić.

— Jestem proboszczem w swej parafii i nikt nie potrzebuje mnie zastępować — obruszył się proboszcz i od początku rozpoczął kościelną ceremonię ślubną.

Baron i jego przyjaciele, znajdujący się w orszaku, zgrzytali zębami, asystując przy tym obrzędzie. Ale żaden z nich nie odważył się poruszyć, bo widział, że jest otoczony przez ludzi w czarnych płaszczach, pod którymi wyraźnie rysowały się dobyte miecze; każdy gwałtowny ruch czy sprzeciw byłby szybciej udaremiony, niż wykonany. Baron w duchu robił sobie wymówki za to, że nie przewidział niebezpieczeństwa i nie przybył do kościoła w asyście większej ilości uzbrojonych swych ludzi. Trzeba było przed ślubem otoczyć i opróżnić kościół. Ale... kto mógł przewidzieć, kto mógł przeczuć, że ten przeklęty Robin Hood żyje i że wyjdzie ze swych lasów, aby przeszkodzić planowi barona.

Obrzęd ślubny przebiegł i zakończył się bez przeszkód.

— Panowie weselnicy — ogłosił Robin Hood — zechcą pozostać jeszcze przez chwilę w kościele, dopóki my nie wyprawimy młodej pary w podróż poślubną. Pozwolę sobie w tym celu zabrać sanie. Będzie to zaliczka na posag, jaki powinna otrzymać panna młoda.

Baron przyjął to oświadczenie jeszcze jednym zgrzytem zębów.

Państwo młodzi w towarzystwie Robin Hooda i kilku jego ludzi wyszli z kościoła. Reszta pozostała na miejscach.

— Pozwólcie, że pierwszy złożę wam życzenia szczęścia — powiedział Robin Hood i uściśnął ręce państwa młodych.

Dawid zaczął się rozpyliwać w podziękowaniach, ale Robin przerwał mu potok wymowy.

— Nie ma teraz na to czasu! — Siadajcie i jedźcie, byle prędko. My zasłoniemy was przed pogonią. Wybierzcie sobie sanie z najlepszymi końmi.

— Siadajcie tutaj! — rozległ się głos Marianny, która w męskim przebraniu brała udział w tej imprezie pomiędzy towarzyszami Robin Hooda. — Te konie będą najlepsze. Znam się na tym — wołała.

Siedziała już na kozle wybranych saní, wyprosiwszy z miejsca woźnicę.

— Siadajcie! Marianna jedzie z wami — zarządził Robin Hood. — Ryszard będzie powoził. Ryszardzie! Gdzież on się po...

Robin urwał, bo dojrzał nagle Ryszarda, który rozmawiał z jakąś damą, najwidoczniej jedną z druhen ślubnego orszaku. Ten widok odebrał na chwilę mowę Robinowi.

— Siadaj, Ryszardzie! Nie możemy tracić czasu — powiedział po chwili o wiele mniej energicznym tonem.

— Siadajcie oboje! — zawołała z kozła Marianna.

Robin Hood spojrział na nią zupełnie zdezorientowany.

Ryszard, spełniając rozkaz wodza, poszedł do saní. Młoda dama stała w miejscu, patrząc za nim.

W tej chwili Marianna wcisnęła lejce do rąk Ryszardowi, wyskoczyła szybko z saní, podbiegła do młodej damy i, nie wdając się w żadne dyskusje, chwyciła ją za rękę i pociągnęła w stronę pojazdu. Tamta nie stawiała żadnego oporu. Usiadła w saniach obok panny młodej. Marianna narzuciła na nich futra i sama wskoczyła na kozioł.

— Pospieszaj za nami, Robinie — krzyknęła do męża. — Ruszaj, Ryszardzie! Co koń wyskoczy!

Zziębnięte konie ochoczo porwały z miejsca sanie. Ruszyli pędem drogą, wiodącą do widniejącego z dala lasu.

Robin Hood przez chwilę stał i patrzył za nimi w milczeniu.

— Coś tu... — mruczał — czegoś tu nie rozumiem. Do licha! Zafrasowany podrapał się w głowę.

Ale po chwili przypomniał sobie, że nie czas teraz na rozwiązywanie zagadek. Zresztą od strony zakręstił szedł już w jego stronę asystujący przy ślubie zakonnik, po prostu ojciec Hiacynt.

Robin Hood gwizdnął głośno w umówiony sposób, dając hasło zbiórki swym towarzyszom.

— Jestem kompletny dureń, padre, — powiedział do ojca Hiacynta — jeśli chodzi o sprawy sercowe.

— Nie lubię się kłócić! — oświadczył zgodliwie mnich.

Towarzysze Robin Hooda jeden za drugim wychodzili z kościoła i formowali się do ubezpieczonego odwrotu. Pierwsza grupa z miejsca ruszyła naprzód



drogą w stronę lasu, druga odstępowała powoli, obserwując wyjście z kościoła, na wypadek, gdyby zwolnieni spod straży goście weselni zamierzeli gonić ich i atakować. Gdy pierwsza grupa odeszła już kilkaset kroków, przystanęła i czekała, aż idąca teraz szybko straż tylna dogoni i przyłączy się do nich.

Ostrożność ta okazała się potrzebna.

## ROZDZIAŁ V

### opisujący huczne wesele, na którym odbywają się niespodziewane zareczyny

Gdy zebrani w kościele uczestnicy ślubnego obrzędu zorientowali się, że nikt ich nie pilnuje, odwaga wstąpiła znowu w serca rycerzy. Zaczęli z oburzeniem trzaskać w miecze, pomstować i odgrażać, że oni pokażą napastnikom, którzy znieważyli święte miejsce, wykorzystali niechęć do wszczynania przez nich bity w kościele i podstępnie zabrali narzeczoną baronowi.

— Gońmy ich! Gońmy i nauczmy rozumu! — wołali, podniecając się wzajemnie do czynu.

— Ale czy bandyci nie zabrali nam koni? — wykrzyknął wreszcie któryś.

Obawa przed tak dotkliwą stratą przemożła obawę przed wychyleniem głowy z kościoła. Ruszyli hurmem ku wyjściu. Upewniwszy się, że napastników nie ma w pobliżu, biegli do miejsca za ogrodzeniem kościelnym, gdzie pachołkowie pilnowali koni wierzchowych i sań.

Wszystkie konie stały spokojnie na miejscu, a służba, zbiwszy się w gromadę, rozprawiała żywo, nie mogąc zrozumieć wypadków, jakie się przed ich oczami rozegrały. Nie wiedzieli przecież, co działo się w kościele.

Nagle wyszło z kościoła kilka osób. Pomiędzy nimi poznali pannę młodą. Do nich podszedł młody chłopak, wyglądający na pannę w męskim przebraniu. Wybrał sanie, zaprzężone w najlepsze konie. Energicznie kazał zejść z kozła woźnicy i zajął jego miejsce.

Potem do sań wsiadło kilka osób i odjechali w stronę lasu. Za chwilę z kościoła wyszła większa ilość mężczyzn w długich płaszczach i podążyła szybko za saniami.

Nim pachołkowie zdążyli uradzić, co to wszystko znaczy, z kościoła wybiegli wzburzeni ich panowie, i wlewając na nich zebraną złość, zaczęli wymyślać a pomstować na niewierną służbę, która opuszcza swych panów w nieszczęściu i nie spieszy im z pomocą.

Naprawdę, łatwiej stracić głowę zupełnie, niż zrozumieć o co chodzi tutaj.

— Na koń, na koń! — nie wołał, a ryczał po prostu baron, dając upust nurtującej go wściekłości. — Dogonimy ich! Wywrzemy pomstę! Za broń!

Wsiadali na podawane szybko przez pachołków rumaki. Wyjechali cwałem na drogę, którą odmaszerował w stronę lasu oddział Robin Hooda.

Przed kościołem pozostały tylko kobiety i starsi mężczyźni, którzy przyjechali saniami do kościoła. Wszyscy byli bardzo skonsternowani. Nie wiedzieli, co zrobić ze sobą, czy wyrażać współczucie rodzicom Agnieszki, czy jechać do weselnego domu, czy też lepiej cichaczem wracać do siebie.

— Taki wstyd, taki wstyd! — powtarzała matka panny młodej, nie dając się uspokoić żadnym perswazjom.

— Prosimy wszystkich do nas — ratował sytuację ojciec. — Nie będzie to wprawdzie uczta weselna, ale prosimy nie brać nam tego za złe.

Goście, ociągając się trochę, wsiadali do sań.

Kilka sań wyjechało na wzgórek, z którego, jak na dłoni widać było drogę, prowadzącą do lasu.

Sań, którymi porwano, czy którymi dała się porwać Agnieszka, nie było już widać. Zniknęły gdzieś w dali za pagórkami i zaspami śnieżnymi, a może dotarły już nawet do lasu.

Za to w niezbyt wielkiej odległości widoczny był oddział jezdnych, pędzący co koń wyskoczy. Dopadali już prawie do pieszego oddziału Robin Hooda, który zebrał się teraz razem i zatrzymał na drodze, przygotowując się do odparcia ataku.

Zdawało się patrzącym, że gwałtowny atak jezdnych uderzy z rozpędu na ten oddział i rozniesie go siłą tego uderzenia.

Nagle, jak na dany znak, oddział Robin Hooda, nie czekając na uderzenie, rozsypał się na wszystkie strony po śnieżnym polu. Rozpędzone konie uderzyły w próżnię i nie mogąc się naraz zatrzymać, pędziły dalej drogą. Wstrzymując konie, jeźdźcy wpadali jeden na drugiego, potykali się, przewracali, rozciągnęli w długi sznur na drodze.

Wtedy ze wszystkich stron posypały się na nich strzały. Strzelcy trafiali celnie, a mierzili przede wszystkim do koni. Coraz to któryś rumak walił się na śnieg, zrzucając jeźdźcę. Próżno rycerze starali się zrobić użytek z mieczy. Nie mogli zbliżyć się na ich długość do przeciwników.

Nim minęło kilka pacierzy, konny oddział wojowniczych rycerzy zamienił się w bezbronną i bezradną gromadkę rozbitków. Kilku rycerzy, których wierzchowce uniknęły szczęśliwie strzał, wycofało się szybko na przyzwrotną odległość. Pozbawieni rumaków spieszyli w ich ślady, obawiając się, że teraz z kolei zaatakują ich ludzie Robin Hooda.

Ale tamtym wystarczyło odparcie ataku. Zebrałi się znów na drodze. I podczas, gdy czarny baron cofał się spiesźnie ze swym oddziałem w stronę kościoła, Robin Hood zbierał lupy na pobojuwisku. Okazało się, że dwa konie są bardzo lekko ranne i nietrudno będzie je wyleczyć. Robin polecił zabrać je swym ludziom. Ciężiej ranne zwierzęta kazał dobić, aby się nie męczyły, i po-zdejmować z nich bogate rzędy, stanowiące zdobycz nie do pogardzenia.

Załatwiwszy się z tym szybko, oddział Robin Hooda wyruszył znów szybkim marszem w dalszą drogę.

Baron, cofając się, wygrażał, iż mimo pierwszej porażki, ani myśli dać za wygraną.

— Nie można z bandytami walczyć po rycersku — wykrzykiwał. — Oni nie mają przecież pojęcia o rycerskiej walce. Ale ja nie ustąpię tak łatwo! Wracamy teraz do zamku, panowie! Zbierzemy i uzbroimy większą ilość ludzi. Patrafimy znaleźć tych rabusiów. Choćby przyszło nam dotrzeć do ich gniazda i wydusić ich tam wszystkich. Ja nie myślę skończyć na tym swoich porachunków. Poznają mnie jeszcze! A kto jest moim przyjacielem — ten mi doko-  
może.

Towarzysze barona bez większego zapalu przyjmowali jego odgrażanie i potakiwali mu dość obojętnie. Szczególnie ci, którzy w ataku utracili swe wierzchołce i musieli brnąć teraz po śniegu, mocząc sobie obuwie i ubranie. Szczęściem dla nich kilka sań, z których widziano przebieg krótkiej bitwy, wyjechało na spotkanie cofających się rozbitków. Rycerze, chcąc nie chcąc przyłączyć się musieli do towarzystwa kobiet i, narażeni na lekkie kpiny i przyćinki, w ich towarzystwie saniami odbyć powrotną drogę.

Goście się podzielili. Część pojechała do zamku barona, część do rodziców Agnieszki. W obydwu jednak grupach humory nie dopisywały zbyt. I mimo, że i tu i tam uczyły by się bardzo obfite, że jada i napitków nie brakowało, biesiadnicy nie mogli się jakoś rozruszać i rozbawić. Większość gości myślała tylko o tym, jakby się najprzyzwoiciej wycofać z towarzystwa i jak najprędzej wrócić do siebie do domu.

Mniej wystawna, ale za to o wiele weselsza uczta czekała na weselników w leśnym osiedlu Robin Hooda.

Robin Hood, jak na wytrawnego wodza przystało, podejmując swą wyprawę, nie zaniedbał zabezpieczenia sobie odwrotu. Część swych ludzi w niewielkich oddziałkach rozrzucił na całej powrotnej drodze. W wypadku, gdyby baron, ścigając swą oblubienicę, zdołał przerwać się jakoś, czy wyminąć główny oddział i pędził za uciekającymi saniami, oddziały te miały zadanie wstrzymywania i opóźnienia pogoni.

Teraz przyłączały się one do maszerującego oddziału Robin Hooda, meldowały o przejeździe sań, powożonych przez Ryszarda i, wzmacniając siły główne, wycofywały się z nimi wspólnie do sherwoodzkiego lasu.

Nie widać było spodziewanej pogoni. Na pewno baronowi po odniesionej klęsce nie uda się zorganizować tak szybko odwetowej wyprawy.

Na wszelki wypadek Robin Hood nie zaniedbywał środków ostrożności. W wioskach, które mijali po drodze do swej siedziby, Robin Hood miał przyjaciół. Wystarczyło uprzedzić ich tylko, aby dawali baczenie na zamek czarnego barona i można było spać spokojnie. O każdym podejrzanym ruchu, o każdym przedsięwziętym zamierzeniu wroga, ci skromni, nie budzący niczyich podejrzeń, przyjaciele zawiadomią w czas leśne osiedle.

Oryginalne wesele obchodził Dawid Minstrel z nowożeńską małżonką, Agnieszką. Państwo młodzi długo musieli oczekiwać na swych weselnych gości, którzy dążyli na wesele pieszo, ciężkimi zasypianymi przez śniegi leśnymi drogami. Za to przybyła ich cała hurma — zmęczonych, wygodniałych, ale bardzo chętnych do wesela i sutej uczy. W osiedlu nie było izby tak wielkiej, aby mogła pomieścić wszystkich biesiadników. Toteż weselne gody odbywały się jednocześnie we wszystkich domach.

Wszędzie kobiety piekły wielkie ćwierci mięsa, przygotowywały różne ciasta, grzały piwo i wino. Wszędzie brzmiały pieśni i żarty, muzyka i śmiechy. Kto się poczuł zmęczony, po przebytych trudach wyprawy i wypitym winie, szukał sobie spokojnego kąta na wypoczynek. A przepawszy się i wypocząwszy, powracał znów do zastawionych stołów, jadł, pił i ucztował. Trwało to wesele przez pełne trzy dni, a godniejszego na pewno nie wyprawiono by na żadnym rycerskim zamku.

Co dostojniejsi weselnicy ucztowali w domu Robin Hooda, gdzie Marianna po powrocie z wyprawy, zmieniwszy męski ubiór na szatki niewieście, krzątała się przy pomocy kuzynek, przygotowując obfite jadalno i napoje.

Był tu ojciec Hiacynt, oboje państwo młodzi, Blanka przyjaciółka Agnieszki, Ryszard Partridge, pani Alicja, matka Robin Hooda oraz jego siostry i kuzynki

Gdy Robin Hood, dotarwszy po ciężkiej wędrówce do osiedla, stanął na progu swego domu, zebrani powitali go okrzykami radości.

— Smutno jakoś się bawicie — zawołał od drzwi. — Za oknami nie słychać, że tutaj odbywa się wesele.

Za nim wchodzili do izby jego towarzysze: Edward Partridge, Ben Piekarz, Arnulf, Will i Til. Wszyscy zmarznięci i zmęczeni, tym niemniej gotowi do uczt i zabawy.

Wesoły gwar zahuczał w izbie. Ktoś zanucił wesołą piosenkę, napełniły się kubki, zadymiły nowe misy, pełne smacznego mięsiva.

Robin siedział na ławie między panną młodą i jej przyjaciółką. Przewadząc głośną wesołą rozmowę, przyglądał się jednocześnie nieznacznie obu swym sąsiadkom. Ciekawiło go, jak czują się tutaj, przeniesione dość gwałtownie z innego zupełnie środowiska w nowy, nieznany sobie zupełnie świat. Radby im zadać wiele pytań, żadna z nich nie potrafiłaby dać mu na nie odpowiedzi.

— Jakże podoba wam się, pani — zwrócił się do Agnieszki — w naszym dzikim osiedlu? Czy wytrwacie tutaj długo? Czy nie zatęsknicie do swego zamku, w którym są piękne sale, dużo służby, więcej wygod i mniej trosk, niż u nas, w sercu dzikiej sherwoodzkiej puszczy?

— Milsze mi będzie najcięższe życie tutaj, niż wszelki przepych i bogactwo przy boku niekochanego męża — odpowiedziała Agnieszka.

Robin Hood uśmiechnął się lekko.

— A więc nie żywicie do nas urazy, żeśmy was porwali baronowi i, nie pytając zbyt, oddali w ramiona Minstrela? — pytał żartobliwie.

— Kocham od dawna Dawida — odparła. — Ale nie myślałam nigdy, że ma w sercu tyle odwagi i że kocha mnie tak bardzo, aby ważyć się na czyn zuchwały dla ratowania mnie i zdobycia. Teraz kocham go jeszcze bardziej i gotowa jestem dzielić z nim złą i dobrą dolę. A dla was Robin Hoodzie i waszych przyjaciół zachowam w sercu wdzięczność do końca życia, żeście mogli Dawidowi...

Robin słuchał tych wypowiedzianych z pewną egzaltacją słów i lekki uśmiech błędził na jego ustach

— Życzę wiele szczęścia, pani, wam i wybrankowi waszego serca. I pragnąłbym, abyście za rok mogli z całą szczerością powtórzyć mi te same słowa. Pamiętajcie o jednym: życie wśród nas, w tym naszym dzikim osiedlu, zależy wam na pewno nieraz. W takich chwilach każde przyjazne serce staje się nieocenioną w słabości podporą. Ceńcie te serca, ceńcie prawdziwie przyjaznych wam ludzi. Moja żona, Marianna, pokochała was, pani, zanim po raz pierwszy ujrzała. Jej przede wszystkim zawdzięczacie, że ruszyliśmy wam na pomoc. Do niej możecie zwracać się śmiało we wszystkich ciężkich chwilach. Na nią możecie liczyć. A zresztą — dodał, zwracając się w kierunku siedzącej po jego drugiej stronie Blanki — macie też tu przyjaciółkę, która bez namysłu poszła za wami na złą i dobrą dolę. Musi was bardzo kochać.



